

KRONIKA ŻAŁOBNA

JERZY HARASYMOWICZ, BIESZCZADZKI LIRNIK

W sierpniu 1999 roku zmarł Jerzy Harasymowicz, poeta. Żył 66 lat i jak większość z nas musiał w życiu dokonywać wyboru między tym co wielkie i małe, między dobrem a złem. Pozostały po Nim wiersze. Nie znałem Go osobiście, o ile pamiętam, zaledwie raz za młodu byłem na Jego wieczorze autorskim. Sądząc po nekrologach zamieszczonych w prasie, przeczytałem jedynie skromną część Jego bogatej twórczości. Czym się zaznaczył w mojej – profesora biologii – pamięci, że poświęcam Mu kilka słów wspomnień na łamach czasopisma poświęconego ochronie przyrody?

Umiłowanie i ochrona przyrody ma dwa oblicza – emocjonalne i racjonalne. Kto chce zrozumieć, musi choć trochę czuć, kto czuje, łatwiej zrozumie. Jerzy Harasymowicz opiewał tę samą rzeczywistość, którą i ja próbuję opisywać. Pisał sercem tak jak ja – rozumem.

Góry. Nie te najwyższe, butnie sterczące, sięgające nieba, wyzwalające emocje i ambicje, ale te odległe, szerokie, połogie i prowincjonalne. Te od dawna oswojone przez tamtejszych ludzi, doświadczone pożogą wojen – Beskidy i Bieszczady. Mała zaginiona ojczyzna i bliski, swojski Chrystus w pochylonych, przydrożnych kapliczkach i wrastających w ziemię, opuszczonych cerkiewkach.

Byłem tam. Być może nawet w tych samych miejscach, gdzie bywał Poeta. I kiedy po powrocie do Krakowa miałem już dość pracy, stresów, miejskiego zgiełku i hałasu, brałem do ręki Jego poezje. Wystarczyło przeczytać jeden, dwa utwory i zamknąć oczy, aby być tam znowu... Oglądać zapamiętane krajobrazy, czuć zapach dymu z ogniska i wspominać. Tych obrazów nigdy dosyć: a to San pod Otrytem i łapane tam węże Eskulapa, a to stary łowca żmij Radziwoniu k, z workiem na kij, spotkany gdzieś w drodze, a to umorusani robotnicy przy dymiącym mielerzu, wreszcie zarastające, ledwie już widoczne przedwojenne drogi, dziczejące sady rodzące skarłale owoce dla wolnych wędrowców i ślady osad z pojedynczymi krzyżami. Nad tym las, buczyna, z rzadka przetykana gonnymi jodłami, mieniąca się pod nogami suchymi liśćmi o barwach miedzi. W górze zaś, kiedy zaczynasz czuć już zmęczenie, wyłaniają

się pełne wiatru i słońca połoniny, dawnymi czasy bogatsze w gatunki i tak kwietne, że aż nie do wiary.

Cała nasza zracjonalizowana, słowna i fotograficzna dokumentacja gór jest sucha i nie przemawiająca do wyobraźni. Próbuje jedynie nieudolnie – jak zła reklama – przekonać, że warto te odległe góry zobaczyć. Poezja Jerzego H a r a s y m o w i c z a jest jak fotografia artystyczna, pokazuje sytość babiego lata i smutek deszczu, i zagubienie mgły. Odległy krajobraz wyzierający zza małej kapliczki, brylantowe krople rosy na pajęczynie o poranku...

Gdyby współcześni adepti „głębokiej ekologii” znali wiersze Jerzego H a r a s y m o w i c z a, może okrzyknęliby Go swoim bardem. Jego to już nic nie obchodzi. Kiedy jeszcze był wśród nas zdecydował, aby pozostawić Go tam, gdzie zostawił serce – w ukochanych Bieszczadach.

Żegnaj nieznany, bliski Przyjacielu, sławiący w swoich wierszach piękno bieszczadzkiej przyrody.

Zbigniew J. Witkowski